

Fryderyk Mauzens.

Z BAGNA PARYŻA

12

— Gdy w odpowiedniej chwili będę prosiła swych rodziców, by wyrzekli się myśli o ułożonym dla mnie związku, zapytają się mnie, czy wybrałam sobie kogo innego... Odpowiem im, że tak...

Śledziła wyraz twarzy Maurycyego, która zmarszczyła się boleśnie. Młody inżynier nie mógł opanować siebie wobec tych słów, które dotyczyły jego najtajniejszych uczuć. Kamilla nie miała, już obecnie żadnych wątpliwości co do miłości, jaką wzbudzała.

— I dodam im, że za męża chcę mieć inżyniera... — ciągnęła dalej.

— Inżyniera? — jąkał się Maurycy.

— Tak... jak pan... A na przykład dlaczego by nawet nie pana samego... o ileby to nie było panu bardzo niebrzydnym... Co pan na to powie?... —

Ton Kamilli był żartobliwy, głos jednak okazywał, jak bardzo i ona jest wzruszona. Maurycy schwycił za drzwiczki dorożki. Zdawało mu się, że ziemia usuwa mu się z pod nóg. Zamknął oczy. Z pod powiek wypłynęły mu łzy i potoczyły się po twarzy.

— Śnię chyba... — szeptał. — Och! lękam się obudzić z tego snu.

Tymczasem Piotr, Joe Smith i miljarder rozmawiając, czekali na inżyniera.

— Rodzice moi — mówił Piotr — dzisiaj zapewne otrzymali list o moim powrocie... Są już z pewnością w drodze do Francji... Z dzienników włoskich dowiedza się prawdopodobnie o moim pojedynku i wyniku.

— Bardzo to ich zmartwi... — rzekł Lewis Jackson.

— Ale będą zarazem spokojni... dodał Joe Smith. — Podróż ta wypadła w samą porę...

— Well! — potwierdził miljarder. — Wszystko więc jest jak najlepiej. Do tej pory ucierpiałem tylko ja jeden.

Roześmiał się krótko i mówił dalej:

— Przeciwnik mój nie chciał, jak Turner, zgodzić się na broń... Wolał roztropnie wjechać na mnie samochodem...

— Wuj ciągle utrzymuje — zapytał Piotr — że ten wypadek nie jest wypadkiem tylko?... —

— Mniejsza z tem!... Nie jestem bardzo tem przejęty!... Cóż może znaczyć zgnieciona ręka i dwie rany na głowie? Byłem ubezwładniony przez wczorajszego dzieła; dzisiaj rano... wstałem z łóżka tylko dlatego, by być tutaj. Obecnie jednak odzyskałem już swe siły i mogę dalej prowadzić badanie... Well! Ponieważ wspominałem o badaniu, powiem zaraz, co postanowiłem... Podzielimy swe zajęcia...

— W jaki sposób? — zdziwił się Piotr.

— W sposób bardzo prosty i logiczny. Ponieważ ja prowadzę sposób życia bardzo skromny, nie mogę się mieszać do ludzi światowych... Nie będę mnie uważał za swego... A przytem przedstawiłem się im jako biedak, trudnoby więc mi było dla pozyskania ich szacunku robić z siebie znowu bogacza...

— Istotnie.

— Ja przeto będę prowadził śledztwo na pocztę, w hotelach, po stróżach, wogóle tam, gdzie nie potrzeba kłaść na siebie obowiązkowo zakładu popołudniu, a fraka lub smokinga wieczorem... Piotrze, udasz się na ulicę Laugier, by zobaczyć pannę Dubois...

— Kiedy mam tam iść?... — zapytał Piotr, błędnie.

— Well! Natychmiast. Róbnym wszystkim po amerykańsku. Co zaś do Smitha, to przedstawię go Australczykowi... Postara się on wejść z nim w bliższe stosunki i wyciągnąć z niego wszystko.

— Jaki?... — zdziwił się Piotr. — Poinformował wuj pana Smitha o wszystkim?

— Tak — odpowiedział Julian Maixent. — Dzisiaj rano. Pomoc jego wcale nie będzie zbyt cenna, jeżeli chcemy rozwikłać tę sprawę, która z dnia na dzień gmatwa się coraz bardziej. A więc Smith, przedstawię pana pod pańskim nazwiskiem jako bogatego Amerykanina, który jeździ dla swej przyjemności.

— Dobrze — odpowiedział sekretarz.

— Co zaś do wydatków, to daję panu carte blanche.

— All right!

— A co pan sam myśli o tej sprawie? — zapytał Smitha Piotr.

— Sądzę, że jest bardzo ekscytującą.

— Chce powiedzieć *vercy exciting* — dodał Julian Maixent — czego nie można dosłownie przełożyć na żaden język. Well! Smith! Hallo! mój chłopcze! Ponieważ jest pan *exciting*, niech pan szuka gorliwie i wpadnie na jakiś dobry ślad lub choćby wskazówkę... Za pierwszą ciekawą wiadomość, jaką nam pan przyniesie, otrzymam pan sto tysięcy dolarów.

— All right! — powtórzył flegmatycznie Smith.

— Rozmawiający zamilkli nagle. W wyjściu ukazał się Maksym Duret i Raul de Lagunan.

— Ach! Szukamy panów! — zawołał prezes. — Chcieliśmy wyrazić panu swą radość, że wszystko skończyło się szczęśliwie.

Ścisnął przytem czułe ręce Piotra. Baron czynił to samo. Potem zajęli się Piotrem Maixent.

— Jakże się cieszę bardzo, że i pana wreszcie widzę na nogach — odezwał się prezes.

— Wiem, że przychodził pan kilkakrotnie do hotelu dowiadywać się o me zdrowie — odrzekł Amerykanin. — Serdecznie dziękuję...

— Pożerał mnie niepokój... — mówił dalej wuj Łucji. Trzeba było trafić, że to ja właśnie znajdowałem się w tym samochodzie!... W dodatku wszystkiego szofer utrzymuje, że gdybym ja nie zrobił tego bezwiednego ruchu i nie schwycił go za rękę, nicby się nie było stało.

— Nie mówmy o tem — odpowiedział niewzruszony Lewis Jackson. — Well! — zwrócił się do Piotra. — Twój przyjaciel Terrade nie powraca. Czy będziemy tutaj czekali na niego?

— Ja jadę — odpowiedział młody człowiek.

— All right! Znajdziesz mnie w hotelu koło piątej godziny.

Piotr siadł do samochodu i podał szoferowi po cichu adres pralni Lambert.

— Przepraszam panów — odezwał się Maksym Duret — lecz muszę rozmówić się z Karolem Turnerem o pewnym wielkiem przedsięwzięciu, o którym mi wspominał... Idę go poszukać...

Prezes, baron i obydwaj Amerykanie wrócili do wiodromu. Gdy wchodzili bocznem przejściem na tor, rozległ się nagle strzał i kilka osób pobiegło naprzód. Był to przeciwnik Piotra Cartegue'a i dawał właśnie dowody swej celności, a reporterzy śpieszyli odfotografować przestreloną kropkę nad i.

Maksym Duret zatrzymał się wraz z swymi towarzyszami, którzy pytali się wzajemnie.

— Co to jest?

W tej samej prawie chwili ujrzeni, iż z grupy osób wysuwa się Karol Turner i idzie naprzeciw nich. Istotnie fałszywy Australczyk chciał już wreszcie uwolnić się od zawodowego natręcia dziennikarzy i ciekawości innych widzów. Świadcowie jego zabrali pudełko z pistoletami, towarzysząc mu. Reporterzy, zachęceni łatwością, z jaką dawał im poprzednio wyjaśnienia, okrażali go w dalszym ciągu, idąc nawet przed nim tyłem.

— Panowie! chwilę spokoju! — prosił Panajon. — Czyż nie dosyć już powiedziałem? Jesteście panowie nienasyconii!

Uśmiechając się, strącił się uwolnić z rąk, które go przytrzymywały z tyłu, lub zagrażały z przodu. Naraz przed Australczykiem zjawił się jakiś nowy, wysoki mężczyzna, o chudej, wygolonej twarzy i dziwnym wyrazie. Miał on na sobie niski, płaski kapelusz, z tyłu zapinany kołnierzyk, jaki noszą duchowni i długie aż do kostek palto ciemno zielonego koloru.

— Ach! — zaczął gardłowym głosem o fałszywym akcencie. — Jestem korespondentem angielskim. Pan, jako mój rodak, nie może mi odmówić dania kilku szczegółów!

I wymienił przytem nazwę pewnego wielkiego dziennika angielskiego.

— Proszę! — odpowiedział Karol Turner ze zmęczonym już uśmiechem.

— Czytałem wczoraj wieczorem, że pochodzi pan z jednej z najstarszych rodzin angielskich.

— Tak, z najstarszych i najstawniejszych!

— Nazwisko jednak Turner nic mi nie mówi!

— Nie jest ono moje własne... Jako młodszy syn bez majątku, wziąłem się do przemysłu, pozostawiając swe tytuły i herby tym krewnym, którzy nie byli zmuszeni zakładać fabryk, by zdobyć środki do życia. Turner jest to przy-

brane nazwisko, które nie razi nikogo, może bardzo dobrze figurować na puszkach z produktami spożywczymi lub na rachunkach... Prawdziwe me nazwisko, którego nie chcę wymieniać, nie odpowiadałoby dla handlu... Chociaż jestem uważany tylko za króla czekoladowego, lecz w żyłach mych płynie kilka kropel prawdziwej krwi królewskiej.

W istocie rzeczy, przemysłowiec, którego nazwiska Panajon nadużywał obecnie, nigdy nie był namaszczały na króla czekoladowego i nie pochodził wcale z wybitniejszej rodziny. Panajon jednak od chwili, gdy się przyoblekł w jego skórę, chciał uchodzić za człowieka niezmiernie bogatego i ze sławnej rodziny. Bła to słaba strona Panajona, który specjalne zadowolenie znajdował w mistyfikowaniu ludzi i ich olśniewaniu. Syn ubogiego sklepikarza z prowincji, wychowany w bardzo skromnych warunkach, nie marzył o niczym innem, jak tylko o tytułach i milionach. Nie przeszkadzało mu to jednak porozumieć się złodziejską gwarą z najgorszymi opryszkami, jak Tetard, lub też przebierać się w frak lokajski albo bluzę robotniczą, gdy wychodził na nocne wyprawy. Zasiliłszy swą kieszeń, wciskał się pomiędzy ludzi światowych, przybierając szumne nazwiska i ubierając się w najmodniejsze kostjумы.

Przy ostatnich słowach fałszywego Australczyka na twarzach obecnych, znających angielski język, dało się zauważyć nowe zdziwienie. Niewrażliwymi na to pozostali tylko obydwaj Amerykanie i Maksym Duret.

— Na tem jednak, dociągnij — dodał złodziej — proszę skończyć swój interwju. Odchodzę. Nie mogę pozwolić, by świadkowie moi tak długo na mnie czekali...

I stanowiącym ruchem dał poznać obecnym, iż chce być już sam skierował się pośpiesznie do bocznego przejścia. Poszli za nim tylko Duret, Raul de Lagunan, Amerykanie i obydwaj jego świadkowie.

Gdy znaleźli się sami, filantrop wziął Australczyka pod ramię i usuwając się z nim na bok, rzekł do obecnych:

— Panowie mi wybaczą, lecz dzisiaj nie będę już widział pana Turnera, a mam z nim do pomówienia w ważnej sprawie nie cierpiącej zwłoki!

I zaczął rozmawiać z mniemanym królem czekoladowym.

— Dałbym dziesięć tysięcy dolarów, by ich słyszeć! — szepnął Julian Maixent do ucha Smithowi.

Nie spuszczał też swego bystrego i przenikliwego wzroku z postaci tych dwóch ludzi. Z twarzy ich jednak nie można było się domyśleć, o czem rozmawiają. Zwłaszcza twarz Maksyma Dureta nie wyrażała żadnego uczucia; Karol Turner miał zaś na ustach tylko lekki, przymuszony uśmiech, który świadczył o pewnym niezadowoleniu.

— Cóż to wszystko znaczy? — zapytał filantrop.

— To wszystko? Co takiego? — odrzekł Panajon.

— Przedewszystkiem te artykuły w dziennikach!

— No więc co?

— Czyś pan zwarjował, że ogłaszasz takie rzeczy?

— Ależ ja nic nie dawałem do ogłaszania!

— Dziennikarze wymyślili sławne pańskie pochodzenie, że pan przybył do Europy, by zakładać trust czekoladowy i że miał pan zamienić z Piotrem Cartegue'iem ośm kul na dziesięć kroków?

— Tak, oni wymyślili — potwierdził Panajon. — Czy pan ma jeszcze jakie złudzenie co do sprawy?

— A ta historia z krwią królewską, która płynie w pańskich żyłach? To także tylko dziennikarze opowiadali podobną bajkę. A to popisywanie się z swą celnością?

— Lecz co tu jest w tem złego?

— Złego? Pan tego nie widzi? Ależ Paryż nie będzie się niczem więcej teraz zajmował, jak tylko panem!

— Właśnie tego chcę.

— I prawdziwy Karol Turner dowie się o tem, co tu się dzieje na jego konto!

— Ach! jest więc prawdziwy?

— Tak... Na szczęście bawi on teraz w Rosji i wyjeżdża na Syberję... dokąd odgłosy z Paryża nie dochodzą...

— A więc czego się pan boi?